

WSZYSTKIE NIEBA

Wojciech Bauer

Koobe
Kraków 2013

© Copyright by Wojciech Bauer, 2013

© Copyright for this edition by Koobe Sp. z o.o., 2013

Redakcja: Agata Kluczewska

Korekta: Grzegorz Bogdał

Projekt okładki: Anna Sus

ISBN 978-83-936253-2-1

Koobe sp. z o.o.

ul. Kornela Makuszyńskiego 4

31-752 Kraków

kontakt@koobe.pl

koobe.pl



Wydanie I

Kraków 2013

1. JERZYK

Często śni mi się, że latam. To nic specjalnie oryginalnego, wielu ludzi miewa takie sny, wiele powieści zaczyna się tymi słowami. Mój sen jest realistyczny: czuję wiatr na twarzy, na ramionach, czasem ostre, siekące krople deszczu, czasem gęstą wilgoć jak w saunie, tylko lodowato zimną, gdy przelatuję przez chmury. W ogóle przebywanie w chmurach jest niesamowitym przeżyciem. To jedna z tych sytuacji, gdy mózg kłóci się ze zmysłami i w efekcie dostajesz różne dziwaczne interpretacje, sprzeczne z wiedzą i percepcją. Bo jesteś w wacie, melduje wzrok, w dymie, w parze, raportuje innym razem. A tu wata dotknąć się nie daje, na próżno zamykasz ją w palcach. Nie czuć swądu spalenizny, dziwi się węch. Organizm kompletem zmysłów alarmuje: dusimy się! Nie dusimy. Nie śmierdzi, nie zatyka, nie parzy. Trochę wilgotno, jak w gęstej mgle, poza tym nic. Dla dotyku, dla receptorów czucia chmury nie ma. Lecisz przez fatamorganę nieistniejących siwych kłaków. Fascynujące uczucie.

Jestem ptakiem.

Kiedyś, gdy mieszkaliśmy na wsi, widywałem na niebie jerzyki. Fruwały zwinnie jak czarne, skrzydlate pociski, kreśliły zawile spirale tropem umykających muszek, śmigały hen, wysoko, na granicy wzroku, lub przeciwnie, nisko nad ziemią. Zawsze wiedziało się, gdzie szukać jerzyków. Wysoko – gdy ostre słońce wędrowało przez nieboskłon, powietrze było suche i czyste. Gdy chmury zasnuwały niebo na buro, a zza horyzontu mrukliwie odzywał się odległy hurkot – jerzyki uwijały się tuż nad głową, jak czarne przecinki wysypane z książki. Gdybym chciał, wysunąłbym dłoń na trasę takiego jerzyka i wpadłby mi między palce, myślałem, gdy w przedgodzinie burzy jerzyki zwiastowały ją piruetami nad ziemią. Tak myślałem: gdybym chciał. Nigdy, zgodnie z rzeczywistością: gdybym mógł.

Jerzyk to dziwny ptak, niesamowity. Istota powietrzna. Żyje w locie od chwili, gdy instynkt wyrzuci go z gniazda umieszczonego niebotycznie, hen nad domami wróbli,

jaskółek i trznadli. Czasem zastanawiałem się, jak to się odbywa. To musi być straszne przeżycie dla pisklęcia, któremu dotąd wszystko kończyło się na kilku centymetrach małej, ciemnej, kulistej przestrzeni wymoszczonej trawą i puchem, z jasnym krążkiem światła na wprost dzioba, którego przysłonięcie oznaczało ciepło i jedzenie, z braćmi wtulonymi w puchate boki z łysymi skrzydełkami, które szybko jednak rosły i smukły, a to ich rośnięcie było determinantą całej jerzykowej przyszłości.

Bo żywiołem i środowiskiem jerzyka jest powietrze.

Jerzyk w powietrzu śpi. To najbardziej fascynująca z niezwykłości dotyczących jerzyków, o jakich wiedziałem. Ptaszek, po całodziennym uwijaniu się w dziesiątkach, setkach kilometrów powietrznych pętli, na zakończenie dnia wzbija się dwa kilometry nad ziemię i tam, rozłożywszy skrzydła, zasypia w znieruchomiałym, okrężnym ślizgu, niczym wiecznolotny szybowiec. O czym wtedy śni? Czy jerzyki mają sny?

Zdarza się, że w tym sennym wirowaniu, w nieprzytomnej, odrealnionej powietrznej pętli, jerzyk zderzy się z innym, którego jego własny senny lot zaniesie w rejon kolizji. Jerzyki nie mają kontroli lotów. Katastrofa lotnicza jest pierwszym z rodzajów ich ptasiej śmierci. Tym pięknym.

Jerzyki umierają też inaczej, bardziej brutalnie, bardziej bezradnie, brudniej i żałośniej. Kilka razy widziałem, jak jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności: podmuch wiatru, błąd lotniczy, brawura lub zmęczenie, sprowadził ptaka na ziemię. Siedział wtedy przerażony, ze zjeżonymi piórami, czasem podskakując kulawo na podwiniętych łapkach o stulonych w piąstki pazurkach, ale bez przekonania, bez wiary, że się uda, że potężne skrzydła złapią podmuch i zdoła się oderwać i wzbić ku swojemu królestwu, ku niebu. On już wiedział, że jeśli nie wydarzy się cud, taki jak litościwa ręka człowieka, nie dożyje wieczora, skończy w szczękach jakiegoś szczęśliwego z powodu łatwej zdobyczy łowcy, a jeśli nie, śmierć będzie jeszcze bardziej okrutna: z głodu, pragnienia, zimna i strachu. Tak, ziemia to śmierć jerzyka. Jestem jerzykiem.

Gotteswind w sferze symbolicznej związany jest z ptakami. W herbie Gotteswind ma kruka – czarny krzyż rozczapierzonych skrzydeł na tle błękitnego nieba. Skrzydła kruka są długie i czarne, niemal takie, jakimi tnie powietrze jerzyk. To oczywiście tylko moja imaginacja i moje chciejstwo, bo naprawdę podobieństwa nie ma żadnego. Kruk to kruk,

jerzyk to jerzyk. Niepodobne, z wyjątkiem faktu podporządkowania sobie przestworzy, to ich jedyny wspólny ptasi element. Poza nim nic. Dwie niezwiązane niczym istoty. A jednak ten kruk, widoczny tu na każdym kroku, na ścianie świetlicy, w klasach, na frontonie głównego budynku, na haftowanych plakietkach przyszytych do rękawów mundurów obsługi, wszędzie, tylko na dnie talerza po zupie go brakuje, wypełnia we mnie pustkę po dawno niewidzianej przestrzeni, substytuuje czarne śmiganie nad głową, definitywnie z dala od ziemi, wyżej, wyżej i jeszcze, pomiędzy powietrzem a niebem.

Dlaczego kruk?

– Widzisz, Hansie, kruk to mądrość, dostojeństwo i siła, skupione w jednym niezbyt okazałym, brzydkim ptaku. To także chytrość i umiejętność myślenia taktycznego – mówi do mnie oddziałowy, gdy pytam. Mówi zawsze to samo, nieświadomy, że się powtarza. Nie wyprowadzam go z błędu, po co? Lubię, gdy do mnie mówi, gdy mówi o ptakach. Chociaż akurat kruk, z wyjątkiem ogólnej przynależności do gromady ptaków, niczym innym nie zasłużył na moją miłość, bo jest wielki, kostropaty i jakoś niechlujny. Do elegancji i doskonałości jerzyka mu daleko.

Oprócz wszechobecnych malowanych, kutych i haftowanych kruków są tu także inne ptaki. O wróblach wydrzydziobach wspominał nie będę, bo są oczywiste. Ale dużo mamy na przykład jaskółek. Takich prawdziwych. Lepią swoje domki w załomach okien, w wykuszach i pod parapetami, pod wystającymi nawisami dachów i w zewnętrznych zakamarkach kominów. Podobają mi się jaskółki prawie tak samo jak jerzyki. To w końcu bliscy krewniacy, przynajmniej jeśli chodzi o technologię ujarzmiania powietrza. Jaskółki są prawie jak jerzyki także z wyglądu i głosu. Ich ostre wizgi często mnie budzą, gdy ciepłym wiosennym rankiem Karola pootwiera okna.

– Pobudka, leniuchy! – Jej głos wplata się dysonansem w wizganie jaskółek i świergot ptasiej drobnicy.

Lubię ten dysonans. Zaraz Karola weźmie mnie na rękę.

Podobno wysoko, pod samym dachem najwyższego budynku, w miejscu, gdzie murarze zwykle zatykają wiechę, jest jedno gniazdo jerzyków. Opowiadano mi, słuchałem z przejęciem, ale i niewiarą. Opowiadający wiedzieli o mojej fascynacji jerzykami, ich opowieść mogła być próbą pogrania na moich emocjach. Ale to nie ze mną. Znałem

zwyczaje jerzyków i sceptycznie przyjmowałem ich zaklinania na świętości. Jerzyki trzeba widzieć, żeby uwierzyć. Ja nie widziałem.

Czytałem w jednej książce o podobnych do nas... Zawahałem się, tak. Patrząc na siebie, na współmieszkańców sali, na widywanych sporadycznie innych mieszkańców Gotteswind, mam poważne wątpliwości, czy jesteśmy ludźmi. Czy jesteśmy jeszcze ludźmi. Pracuje się tu, żebyśmy za bardzo nie byli. Zresztą, wystarczy popatrzeć i każdy nabierze wątpliwości, różnice widać gołym okiem. Ale wracam do książki. Była z mojego, z naszego punktu widzenia realistyczna, a dla niektórych (na przykład dla mnie) nawet optymistyczna. Na pierwszych stronach czytelnik poznaje głównego bohatera, gdy ten czołga się, nagi, nocą, po zimnej, kamiennej posadzce do toalety, bo jest późno i nie ma już nikogo, kto mógłby mu pomóc. Taki szczęśliwiec. U nas też są tacy szczęśliwcy, a jakże, nawet sporo. Ze znanych mi osobiście – Betinka. Jakby co – sama dowlecze się gdzie trzeba. Ja do nich nie należę.

Książkę czytało mi się przyjemnie i byłem niemile zaskoczony, gdy oddziałowy mnie z nią nakrył i z wrzaskiem zbeształ Karolę, naszą salową, a mnie książkę odebrał, w zamian dając inną, jakiś romans bodajże. Ach, nie mówiłem dotąd, że ja czytam. Mam tu taki pulpit, który przede mną stawiają, i ołówek z gumką do przewracania kartek. Nabranie wprawy nie trwało długo, podobnie jak sama nauka czytania. Gorzej z pisaniem, ale w gruncie rzeczy na co komu pisanie? Kto może – pisze, kto, jak ja, nie – używa dyktafonu. Ja mam taki fajny, mały, co mi go dyrektor bidula podarował na urodziny.

Z tym człowieczeństwem to mamy tu siedem światów. Uczestniczymy w różnych zajęciach, lekcjach, na których tłoczą nam do głowy historie o ludziach i ich świecie, o ideach i ideałach, o miłości, dumie, nienawiści, szlachetności, pięknie, brzydocie i innych takich, w tym sporcie i tężyznie, a jakże, fizycznej, a potem robimy teatr. Udajemy, że to nas dotyczy. A oni udają, że nam wierzą. A przecież cały wic polega na tym, że powinniśmy raczej uwierzyć w coś wprost przeciwnego. Że to nie dla nas, że jesteśmy inni celowo, że boski zamysł był taki, by nam dać możliwość zaistnienia w sferach ludziom niedostępnych. Że ziemia, ten wrogi żywioł, obcy i nieżyczliwy, służy nam chwilowo, dopóki nie posiadziemy naszych docelowych umiejętności i nie opuścimy jej na zawsze. Na razie kucamy niezdarnie, z podkulonymi kikutami łapek, podskakujemy, próbując wzbić się w niebo.

Nasze skrzydełka są łyse, bezpióre, prostujemy je po pisklęcemu nieporadnie i strachliwie. Do czasu. Bo później przyjdzie chwila wiatru, gdy wślizgnie się pod lotki, a one go pochwyca, nabiorą do pełna i uniosą. Wzniesiemy się na jego niewidzialnej strudze, coraz wyżej i wyżej, a ziemia i to jej przyziemne upokorzenie, ta przyglebia nędza, która nas trzyma i wiąże w bezsilności, odpłynie, zmaleje i skarli się wreszcie daleko, hen, w dole.

To mnie najbardziej różni od ludzi: nadzieja na przestwór, na powietrzną wieczność, na wolność. Wiecie już. Jestem jerzykiem.

Pełna wersja książki do kupienia w księgarni internetowej koobe.pl

PATRONAT:

